

Wapiński, Roman

Problemy historyka dziejów najnowszych

Dzieje Najnowsze 30/4, 125-132

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WARSZTAT BADAWCZY

Roman Wapiński
Gdańsk

Problemy historyka dziejów najnowszych

Gdy pisze i mówi się o trudnościach badania dziejów najnowszych, na ogół ma się na myśli bądź te, które są konsekwencją limitowanego dostępu do dokumentacji instytucji życia publicznego, bądź te determinowane brakiem wolności obywatelskich. Pozostałe, wywołane ułomnościami warsztatu badawczego historyków tych dziejów, słabą obecnością refleksji itp., dostrzegane są o wiele rzadziej, by nie powiedzieć: incydentalnie. Sądzę, że większość z nas bierze pod uwagę tylko te ograniczenia poznania, które określa stan zasobów źródłowych i stopień ich dostępności. Lektura prac dotyczących dziejów najnowszych skłania do przyjęcia oceny, że jedynie nieliczni badacze tych dziejów uświadamiają sobie nader ograniczone możliwości pogodzenia wymogu wykorzystania całości bazy źródłowej i istniejących już opracowań z dążeniem do zaprezentowania takiego ujęcia podjętej szczegółowej problematyki badawczej, które by uwzględniło jej różnorodne uwarunkowania i konteksty. Bardzo niewiele jest przy tym takich, którzy zdają sobie sprawę, iż wspomniany wymóg zrealizować można tylko wówczas, gdy ograniczymy się do mikroskopowych obserwacji, na przykład do badań małych społeczności lokalnych, nie legitymujących się rozwiniętymi kontaktami zewnętrznymi.

Nie ulega wątpliwości, że na przeszkodzie poznania przebiegu szeregu wydarzeń stoi brak źródeł, bądź ich niedostępność, ale równie bezspornym faktem jest ich zwiększająca się lawinowo obfitość. Utrudnień, które stwarzają luki w dokumentacji źródłowej i ograniczenia dostępu do części zasobów archiwalnych, z pewnością lekceważyć nie można. Czy słusznie jednak im, a nie problemom wywołanym obfitością źródeł, poświęca się więcej uwagi? Wyraźniej przecież te utrudnienia odczuwają tylko historycy dziejów politycznych, acz i oni jedynie sporadycznie mogą stwierdzić, że wykorzystali wszystkie dostępne zasoby źródłowe. Sądzę, że o wiele poważniejszy problem stwarza mający miejsce w XX w., zwłaszcza zaś w drugiej jego połowie, bardzo znaczny przyrost dokumentacji. Być może, iż w przyszłości historyk dziejów najnowszych będzie miał do dyspozycji bazy danych umożliwiające zdobycie informacji, gdzie znajdzie przydatne mu źródła, czy będzie jednak w stanie je wszystkie wykorzystać?

Wydaje się, że znajdzie się tylko w nieco lepszej sytuacji od obecnego, który, dokonując wyboru źródeł, musi dość często zawierzyć swej intuicji. Na ogół jednak i on będzie zmuszony do wyboru, gdyż na dotarcie do wszystkich nie starczy mu po prostu czasu. Aprzecież powinien także dobrze znać przeważnie równie lawinowo narastający stan badań i dysponować przynajmniej podstawową wiedzą o postępie wiedzy historycznej w ogóle. Realnie oceniając możliwości spełnienia tych wymogów, również przez przyszłego historyka, można przyjąć, że nie będą one o wiele większe od tych, które ma obecny. Też trzeba będzie przeprowadzać selekcję źródeł i opracowań¹, tyle tylko, że dzięki lepszej informacji naukowej prawdopodobieństwo pominięcia tych najistotniejszych dla podjętego tematu badań ulegnie zmniejszeniu. Tylko jednak zmniejszeniu, gdyż nie będzie mógł mieć pewności, że pominięte nie pozwoliłyby mu na pełniejsze ujęcie wybranej problematyki badawczej.

Dotarcie do wszystkich przydatnych dla interesującego nas tematu źródeł nie stwarza jeszcze zresztą gwarancji poprawnego jego opracowania. Nie mniejsze trudności nastreżają dobre ich wykorzystanie. Obfitość dokumentacji źródłowej nie sprzyja bowiem pogłębionej jej interpretacji, nie jesteśmy zresztą do niej dobrze przygotowani. Nie dysponujemy tak rozwiniętym warsztatem badawczym, jaki posiadają historycy starożytności i średniowiecza. Oni, limitowani ograniczonymi zasobami źródłowymi, rozwinęli metody ułatwiające wydobywanie wielu informacji z pojedynczych przekazów źródłowych, podczas gdy my, mając do czynienia z bogactwem źródeł, nierzadko nie przywiązujemy wagi do interpretacji jednostkowego przekazu. Z przejawami całkowicie bezkrytycznego przyjmowania zamieszczonych w nim informacji spotykamy się wprawdzie rzadko, dość jednak często mamy do czynienia z zawężeniem interpretacji.

Dysponując najczęściej mnogością przekazów, na ogół ograniczamy się do ustalenia stopnia wiarygodności informacji o interesujących nas faktach. Mnogość nie skłania do poświęcenia należytej uwagi „ukrytym” informacjom, możliwym do wydobywania dopiero wówczas gdy uda się nam wczuć w kulturowe i polityczne klimaty interesujących nas czasów. A jak trafnie przed ponad pięćdziesięcioma laty zauważył Jose Ortega y Gasset: „Historia staje się sobą tylko wówczas, gdy zdoła pojąć człowieka z innej epoki lepiej, niż on sam siebie rozumiał. Ściśle rzecz biorąc, historia chce zwykle rozumieć naszych przodków o tyle tylko, o ile oni sami siebie pojmowali, ale nie osiągnie tego, jeśli nie odsłoni najgłębszych domniemań, pośród których żyli i których, jako oczywiste, nie zauważali. Dlatego, aby odbierać ich tak, jak siebie sami odbierali, musimy ich rozumieć lepiej”².

¹ Położenie historyków nie jest wyjątkowe. Zdaniem historyka nauki, zajmującego się przede wszystkim naukami przyrodniczymi: „Człowiek, który wkracza na front badań, znajduje tam innych, którzy mają to samo podstawowe wykształcenie w tej samej dziedzinie, stoją wobec tych samych problemów i sięgają po jabłka z tego samego drzewa. Zechce on obserwować pracę tych, podobnych do siebie jednostek, zarazem swoich rywali i współtowarzyszy. Będzie się starał raczej przeskoczyć ich wyniki, niż je powtarzać. Ile takich jednostek jest on w stanie upilnować? Jak sędzę, liczba stanowiąca odpowiedź na to pytanie, sięga 100. Z pewnością jest się w stanie czytać jeden artykuł na każdy napisany przez siebie. Na pewno nie można skutecznie wykorzystać 10 tys. artykułów na każdy napisany, bo wówczas dobry pracownik, który w ciągu życia pisze 100 prac, musiałby ich przeczytać 1 mln, tzn. ponad 60 dziennie” (D. J. de Solla Price, *Mała nauka — wielka nauka*. Warszawa 1971, s. 71). Historyków podejmujących takie same problemy badawcze jest zapewne mniej niż np. chemików badających węglowodany, ale czy rzeczywiście są w stanie zapoznać się z całym interesującym ich stanem badań?

² J. Ortega y Gasset, *Velazquez i Goya*, wyboru dokonał S. Cichowicz, przełożył R. Kalicki, Warszawa 1993, s. 59.

Pozornie jest to wymóg, który historycy dziejów najnowszych spełnić mogą z większą łatwością niż np. historycy dziejów nowożytnych. Badają bowiem dzieje im współczesne lub niemal współczesne. Poszukując informacji, dysponują szansą dotarcia do bohaterów interesujących ich wydarzeń. Często mogli je sami obserwować, a czasami w nich uczestniczyć. Wiemy jednak, że taka bliskość analizowanych wydarzeń przynosi nie tylko korzyści. I to nie tylko i chyba nie głównie dlatego, że dysponujemy ograniczoną znajomością ich następstw. Znacznie większe utrudnienia, jak się wydaje, stwarza wywołane tą bliskością przekonanie, że wyobrażenia (m.in. widzenie bliższego i dalszego otoczenia) i zachowania bohaterów badanych wydarzeń, odległych przecież co najwyżej o kilkadziesiąt lat, nie różnią się zasadniczo od tych, z którymi spotykamy się współcześnie.

Niebezpieczeństwo mimowiednego prezentyzmu czyha na historyków wszystkich epok, zwłaszcza na badających dzieje wyobrażeń, poglądów i zachowań. Spotykając się w licznych przekazach z takimi samymi określeniami, jakimi posługujemy się współcześnie, niejednokrotnie zapominamy zarówno o tym, że ówczesni mogli im przypisywać inne znaczenie, jak i o tym, że „określona rzecz, którą chcemy wypowiedzieć, kryje w sobie ogromną ilość domniemań; przemilczanych, gdyż wydają się nam równie oczywiste i dla słuchaczy, i dla nas”³. Można jednak przyjąć, że w wypadku odleglejszych epok zachowujemy większą ostrożność niż wtedy, gdy badamy dzieje dwóch najbliższych epok, zwłaszcza zaś tej, w której przyszło nam żyć. Zdarza się, iż w ogóle nie bierzemy pod uwagę, że żyjący i działający w tej samej, co my, epoce mogli takiemu samemu werbalnie określeniu przypisywać inne niż my znaczenie.

Zaabsorbowani badaniem przebiegu interesujących nas wydarzeń, dość często nie poświęcamy większej uwagi złożonemu następstwom narastającego w XX w. przyspieszenia przemian kulturowych, politycznych i gospodarczych. I w gruncie rzeczy nie można się temu specjalnie dziwić. Po pierwsze dlatego, że w jakimś zakresie sami w tych przemianach uczestniczymy. I w związku z tym nierzadko traktujemy je jako „oczywiste”, nie wymagające dopowiedzeń. Po drugie, niejednokrotnie podejmujemy nową, przez nikogo wcześniej nie poruszaną tematykę badawczą. Natrafiamy na tak wiele trudności w ustalaniu i interpretacji konkretnych, jednostkowych faktów, że niektórzy z nas zadowolają się ich opisem. Po trzecie, znaczna część, chyba większość, swymi zainteresowaniami obejmuje wyłącznie jakiś wycinek dziejów najnowszych: dwudziestolecie międzywojenne, II wojnę światową itp. Zwiększa to szansę pełniejszego wykorzystania źródeł i literatury przedmiotu, ale równocześnie sprzyja zawężaniu pola obserwacji, braniu pod uwagę jedynie zjawisk *krótkiego trwania* i bieżących uwarunkowań analizowanych wydarzeń.

W dodatku — jak można sądzić — jedynie część historyków dziejów najnowszych bierze te ograniczenia pod uwagę i podejmuje próby ich przewyciężenia. Rzadko jednak mogą liczyć na pełen sukces. Możliwości pogodzenia dwóch dążeń: przeprowadzenia gruntownej analizy konkretnych wydarzeń i określenia ich miejsca wśród pozostałych wydarzeń epoki są bowiem niewielkie. Brak czasu to nie jedyna przeszkoda, którą w tym wypadku mamy do pokonania. I być może nie największa. Znaczna ich część — jeżeli można to tak ująć — tkwi w nas, w naszych nawykach i wyobrażeniach.

W większości interesując się historią polityczną, nie tak przy tym rzadko pojmowaną tradycjonalistycznie, najczęściej gros uwagi poświęcamy wydarzeniom chwili. A ponieważ

³ Ibidem, s. 58.

w XX w. mamy do czynienia nie tylko ze zwiększającym się ich natłokiem, niejednokrotnie ograniczamy się do ustalenia ich przebiegu oraz do analizy bieżących uwarunkowań i kontekstów. Sprzyja też temu hołdowanie przez dość wielu historyków dziejów najnowszych przesadnemu przekonaniu o wyjątkowości badanej przez nich epoki. Nie dostrzegają w związku z tym potrzeby poświęcania większej uwagi zjawiskom o odleglejszym czasowo rodowodzie. Nie brak zaś i takich, którzy zadowolają się przyjęciem do wiadomości, że po I wojnie światowej mamy do czynienia z nową epoką, najczęściej określaną mianem „dziej najnowsze”. Podejmują konkretny temat badawczy i *de facto* do niego zacieśniają swą uwagę.

Pierwsza wojna światowa niewątpliwie była jednym z tych wydarzeń, które możemy uznać za rzeczywiście przełomowe, sygnalizujące wejście ludzkości w nową, znacznie różniącą się od dotychczasowej fazę swego rozwoju. Owcześni nie przypadkiem nazwali ją „Wielką Wojną”. Ale konstatując to, nie powinniśmy wpadać w przesadę i upatrywać w niej wydarzenia, które samo w sobie przesądzało o charakterze zachodzących później przemian politycznych, kulturowych itd. Podobnie jak we wcześniejszych tego typu wydarzeniach, znajdujemy w niej obok nowych, uprzednio nie spotykanych zjawisk, wiele takich, które, będąc również zwiastunami nowej epoki, zaznaczyły swą obecność już w poprzedzających tę wojnę dziesięcioleciach. Mam tu na myśli między innymi pojawienie się ruchów hołdujących ideologii nacjonalistycznej i doktrynie rewolucyjnego socjalizmu. Zapewne gdyby do niej nie doszło, to ich wpływ na zachodzące przeobrażenia byłby bardziej ograniczony. Można chyba powiedzieć, że wojna ta odegrała rolę pokrewną do tej, którą w utworze operowym zajmuje uwertura. Analizując jej przebieg, możemy bez trudu dostrzec zapowiedzi większości zjawisk charakterystycznych dla dziejów najnowszych, m.in. zmniejszenia znaczenia Europy. Przyzwyczajenie do określeń „pierwsza wojna światowa” i „druga wojna światowa” powoduje, że część z nas w zbyt małym stopniu bierze pod uwagę fakt, że ta „pierwsza”, przynajmniej do chwili wzięcia w niej udziału przez Stany Zjednoczone Ameryki, była właściwie nie światową, ale europejską. I tak ją wielu ówczesnych postrzegało. Działania wojenne toczyły się wprawdzie i poza Europą, na frontach ginęli nie tylko Europejczycy, ale była wojną wywołaną sprzecznymi interesami państw europejskich. Można w niej dostrzec zapowiedzi globalizacji konfliktu, ale wyraźniej dały o sobie znać te, które zwiastowały zmierzch „świata Europy”⁴.

Zwróciłem uwagę na fakt przekształcania się rozpoczętej w 1914 r. wojny z europejskiej w światową jedynie dlatego, że pozwala on uzmysłowić sobie pełniej jedną z głównych, moim zdaniem, przyczyn przeceniania znaczenia przełomów. Upatruję ją w trudnościach uchwycenia narastania różnorodnych zjawisk, które nie muszą, ale mogą doprowadzić do mniej lub bardziej znaczącego przełomu. Czasami zjawiska te niemal całkowicie przesłaniają nam te wydarzenia, najczęściej „krótkiego trwania”, które odegrały rolę swego rodzaju zapłonu, na ogół jednak uwzględniamy tylko te, które znajdują się w sferze naszych zainteresowań. Ze zrozumiałych powodów polihistoryków spotykamy bardzo rzadko, większość z nas — jeżeli można tak powiedzieć — ogranicza się do uprawiania swojej „działki”. Ci z nas, którzy, zaniedbując nieco jej uprawę, próbują uprawiać i sąsiednie, zawsze ponoszą tego mniejsze lub większe koszty. Poszerzając zakres obserwacji, zmniejszają bowiem swój udział w ustalaniu nowych faktów jednostkowych. Równocześnie jednak — jak sądzę — są mniej narażeni na

⁴ Określenie to dobrze oddaje rolę, jaką w XIX w. i w pierwszym dziesięcioleciu XX w. odgrywały mocarstwa europejskie.

postrzeganie tylko niektórych aspektów badanych wydarzeń i przecenianie znaczenia zjawisk „krótkiego trwania”, niż zamykający się w obrębie swej specjalności.

Każda z tych dróg postępowania badawczego przyczynia się do lepszego poznania epoki, każda też obarczona jest wieloma ułomnościami. Jedna zmniejsza szansę wzbogacenia naszej wiedzy o nowe fakty jednostkowe, druga przyczynia się do zawężania pola obserwacji. Na ogół znajduje to wyraz w ograniczeniu zainteresowań do zjawisk „krótkiego trwania”, czasami jednak w patrzeniu na całość dziejów najnowszych przez pryzmat części tylko części charakterystycznych dla nich wydarzeń. A to niesie groźbę przyjęcia bardzoubożonego ogólnego ich oglądu. Mam tu na myśli akceptowane przez niektórych historyków określenie mijającej (czy też minionej) epoki mianem „epoki totalitaryzmów”. Nie ulega żadnej wątpliwości, że totalitaryzm zaważył negatywnie na dziejach tej epoki. Całkowicie wobec tego zrozumiałym jest fakt poświęcania mu w badaniach szczególnie dużej uwagi. Wiele wskazuje na to, że badania te nie są jeszcze dostatecznie rozwinięte. Stosunkowo dużo już wiemy o funkcjonowaniu państw totalitarnych, o popełnianych w nich zbrodniach ludobójstwa, ciągle jednak niewiele o życiu codziennym społeczeństw tych państw i o wpływie, jaki totalitaryzm wywierał na stan świadomości społecznej. Nie można jednak zapominać, że ta sama epoka przyniosła wielu społeczeństwom wolność i zdecydowaną poprawę bytu, nie tylko materialnego. I dziś jeszcze nie stać nas na w miarę precyzyjną odpowiedź na pytanie, jakie zjawiska były dla tej epoki bardziej charakterystyczne. Określenie „epoka totalitaryzmów” w znacznie większym stopniu podyktowane jest emocjami, podobnymi do tych, które ludzi Odrodzenia skłaniały do przyjęcia czarnego wizerunku średniowiecza, niż naszym poznaniem dziejów tej epoki. Upowszechnienie tego określenia może ponadto utrudnić dostrzeżenie wielu przesłanek i uwarunkowań ruchów i systemów totalitarnych. Poza tym nawet gdy przyjmiemy, że rozpad bloku sowieckiego i załamanie „realnego socjalizmu” w większości objętych tym systemem państw przyniosły schyłek epoki zainaugurowanej wydarzeniami I wojny, nie powinniśmy abstrahować od możliwości pojawienia się ruchów i systemów politycznych pokrewnych totalitaryzmowi. Dziś już, zaledwie kilka lat po upadku muru berlińskiego, miejsce euforii, która swój najpełniejszy wyraz znalazła w obwieszczeniu przez Francisa Fukuyamę „końca historii”, zajęły takie konstatacje: „W ubiegłym tygodniu nastąpił koniec pozimnowojennego świata. Przez niemal całe dziesięciolecie żyliśmy w nim pełni spokoju i błogiego zadowolenia. Wydawało się nam, że pokój i prosperity są już zapewnione, że triumf odnosi wolny rynek i nowa technologia i że wpływy Ameryki w świecie są sprawą przesądzoną. Jednakże kryzys w Rosji może okazać się punktem szczytowym globalizacji i początkiem świata znacznie mniej przychylnego dla amerykańskich interesów i wartości. Tak się złożyło, że kres tej ery dokonał się w Moskwie, a więc tam, gdzie nastąpił jej początek. To właśnie upadek Związku Radzieckiego, dyskredytacja socjalizmu i wyzwolenie się Europy Wschodniej skłoniły kraje całego świata do zaakceptowania — a nawet do gorącego zaaprobowania — jedyne go pozostałego supermocarstwa i jedynej pozostałej ideologii — demokracji i kapitalizmu”⁵.

Prawdopodobnie tego typu ocen byłoby znacznie mniej, gdyby politycy i publicyści, obserwując wydarzenia przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, brali pod uwagę nie tylko dążenia i proklamacje przejmujących wówczas władzę w państwach byłego bloku sowieckiego środowisk przywódczych, ale także stan świadomości społecznej i skalę oczekiwań większości mieszkańców tych państw — zwykłych zjadaczy chleba. Zwracam na to uwagę, gdyż

⁵ „Newsweek” z 7 IX 1998 r. Cyt. za: „Forum” z 13 IX 1998 r., nr 37.

znaczna część historyków dziejów politycznych popełnia taki sam błąd. My również swe zainteresowania koncentrujemy na najaktywniejszych zbiorowościach, przy czym i one są najczęściej postrzegane niemal wyłącznie w sytuacjach mniej lub bardziej wyjątkowych. I specjalnie nie można się temu dziwić. Dysponujemy tylko ściśle określonym czasem, a zdecydowana większość wykorzystywanej przez nas dokumentacji dotyczy sytuacji wyjątkowych i zawiera głównie informacje o wyobrażeniach, dążeniach i zachowaniach tych uczestników życia publicznego, którzy świadomie określają jego treści i kształtują jego formy.

Wiemy, że w objętej naszymi zainteresowaniami epoce, między innymi w wyniku upowszechnienia pełnych praw obywatelskich, wszyscy lub prawie wszyscy dorośli uzyskali możliwość wywierania wpływu na bieg spraw politycznych, ale czy stać nas na uwzględnienie złożonych następstw tego faktu? Nie popełnię chyba większego błędu, stwierdzając, że większość historyków dziejów politycznych w zbyt małym stopniu bierze pod uwagę fakt, iż wśród uczestników życia publicznego przeważają nie posiadający politycznego wyrobienia. „Są oni właściwie uśpieni, jak masy w czasach starożytności i w średniowieczu — konstatował przed ponad trzydziestu laty David Riesman, analizując ich udział w życiu politycznym Stanów Zjednoczonych Ameryki — są więc ludźmi, którzy od wieków pogodzili się — z nawrotami cynizmu i sporadycznych buntów — z tyranią elity władzy. Brak im środków umożliwiających zajęcie stanowiska w sprawach polityki oraz nie mają pojęcia, na czym by to mogło polegać. Brak im podstawowych umiejętności: są analfabetami bez politycznego wykształcenia i organizacyjnych doświadczeń”⁶.

A od schyłku XIX w. ich rola w życiu politycznym wyraźnie jednak wzrasta. Sprzyja temu nie tylko pojawienie się masowych ruchów politycznych, zwłaszcza socjalistycznego i nacjonalistycznego, i demokratyzacja ustrojów prawnopolitycznych większości państw. Szybszy przyrost demograficzny przyczynia się do znacznego zwiększenia ich liczebności. Ponadto dzięki intensywnemu postępowi technicznemu coraz łatwiej się do nich dociera. Pierwsze dziesięciolecie XX w. przyniosły rozwój popularnej, wysokonakładowej prasy, lata trzydzieste — radiofonii, pięćdziesiąte — telewizji, a obecne dziesięciolecie — połączeń internetowych. Wszystkie te środki przekazu sprzyjają nabyciu większej wiedzy politycznej, ale wszystkie też — o czym się dość często zapomina — mogą służyć celom mniej chwalebny. I to nie tylko w państwach totalitarnych. Tak było wczoraj, tak jest i dziś.

Bez poznania wyobrażeń i zachowań tej na co dzień „milczącej” większości nasza wiedza o dziejach najnowszych będzie nader ograniczona. Oglądając je przez pryzmat przemian zachodzących w środowiskach stale zaznaczających swój udział w życiu politycznym, lub przynajmniej systematycznie się nim interesujących, postrzegamy jedynie część charakterystycznych dla tej epoki zjawisk. Opowiadamy się za poglądem, że początek nowej epoki wyznaczają wydarzenia I wojny, ale — jak się wydaje — najczęściej jedynie dlatego, że przyniosły one szereg zmian w układzie sił politycznych. Pozostałe następstwa tej wojny często zostają poza zasięgiem naszych zainteresowań bądź też dostrzegane są w ograniczonym stopniu. Tak między innymi postrzegany jest wpływ pojawienia się w jej okopach „bezimiennego”⁷, szarego tłumu na późniejszy bieg dziejów. Pełniej nieco biorą go pod uwagę właściwie tylko ci, którzy analizują przyczyny zwycięstwa bolszewików w Rosji, faszystów we Włoszech i nazistów w Niemczech. A przecież dostrzeżenie pojawienia „bezimiennej” masy żołnierskiej

6 D. Riesman oraz N. Glazer i R. Dennez, *Samotny tłum*, przełożył i wstępem opatrzył J. Strzelecki, Warszawa 1971, s. 226.

⁷ Nie przypadkiem po zakończeniu wojny pojawiły się groby „nieznanego żołnierza”.

może ułatwić zrozumienie charakteru całej epoki. Wszak przeważająca jej część wywodziła się z owej „milczącej”, pozostającej dotychczas na uboczu wielkiej polityki większości. W dodatku wojna ta, na skutek nabrania cech wojny totalnej, wciągnęła w swe tryby również zaplecze.

Sądzę, że gdybyśmy, badając I wojnę światową, potrafili uwzględnić wszystkie zachodzące w czasie jej trwania przemiany, to wówczas nasze widzenie zapoczątkowanej przez nią epoki byłoby znacznie pełniejsze. I być może dziś mówilibyśmy co najwyżej o jej schyłku, a nie o końcu. W każdym razie nadal daje o sobie znać ekskluzywizm narodowy, nie zniknęło też niebezpieczeństwo, jakie dla pokoju w świecie tworzą wielkie ideologie. Miejsce skompromitowanych świeckich nie tak znów rzadko zajmują religijne. Dokonując ogólnego oglądu tej epoki warto mieć na uwadze spostrzeżenie Derricka de Kerckhove, następcy Marshalla Mc Luhana, autora określenia współczesnego świata jako „globalnej wioski”: „Nagle przpieszenie techniczne i socjalne zaistniałe bez przygotowania może spowodować dezintegrację, jak uczyniły to obie wojny światowe”⁸. Czy bowiem — na przykład — następstwa upadku Związku Sowieckiego nie są porównywalne ze skutkami wielkiej klęski wojennej?

Nasilające się w XX w. przenikanie zjawisk sfery polityki *sensu stricto*, gospodarki, techniki i kultury zwiększa względność naszego poznania. Natrafiamy na trudności w toku badań, niekiedy wręcz niemożliwe do pokonania, już nie tylko w wymiarze makrohistorii. Postępująca globalizacja przysparza je również i w wymiarze mikrohistorii. Gdy swymi zainteresowaniami obejmujemy najbliższe dziesięciolecia, niejednokrotnie stwarza nam także kłopoty ukazanie uwarunkowań ustalonych w toku badań wydarzeń jednostkowych. Wyobrażenia korzystających z telewizji o świecie obywateli jednego państwa o życiu obywateli innego państwa kształtują nie tylko informacje podawane w dziennikach i reportażach. Nie można wykluczyć, że w większym stopniu formują je oglądane na małym ekranie filmy fabularne i seriale. Czasami, ukazując panujący w innych państwach dostatek, bogactwo i obfitość dóbr, przyczyniają się do spotęgowania niezadowolienia z własnych warunków życia i skłaniają do upatrywania w tych państwach wzorów wartych naśladowania. Z takim ich oddziaływaniem, jak można sądzić, mieliśmy na ogół do czynienia w państwach „realnego socjalizmu”. Można jednak stwierdzić i inne, nieraz całkowicie odmienne efekty odbioru przekazu telewizyjnego. Prezentowane w programach telewizyjnych wartości i obyczaje niekiedy mogą wywoływać nie tylko sprzeciw. „Globalizacja — jak trafnie zauważył Derrick de Kerckhove — potęguje nadmierne dążenie do odrębności lokalnych, co w wielu częściach świata powoduje niepokoje, różne formy rasizmu i konflikty zbrojne”⁹.

Gdy uwagę koncentrujemy na dziejach naszego narodu (państwa), grozi nam przecenianie ich odmienności, a nieraz — ich całkowitej wyjątkowości. Z kolei skupienie zainteresowań na zjawiskach symptomatycznych dla zachodzącego od czasów I wojny światowej procesu globalizacji niesie niebezpieczeństwo przesadnej generalizacji. Powinniśmy godzić postrzeganie odrębności i podobieństw, ale czy jesteśmy w stanie w zadowalającym stopniu sprostać temu wymogowi?

Zapewne zasygnalizowałem tylko niewielką część trudności, z jakimi przychodzi się borykać historykom dziejów najnowszych. Być może, że większość tych, którym poświęciłem nieco

8 D. de Kerckhove, *Powłoka kultury. Odkrywanie nowej elektronicznej*, wprowadzenie i opracowanie tekstu Ch. Dewdney, Warszawa 1966, s. 88.

9 Ibidem, s. 91.

uwagi, może uchodzić za truizmy. Sądę jednak, że częstokroć i truizmy są warte przypomnienia. Każdy z nas wie o niebezpieczeństwach, jakie stwarza bliskość badanych wydarzeń, ale czy zawsze o nich rzeczywiście pamiętamy? Jakże często przejmujemy bezkrytycznie, czy niemal bezkrytycznie, opinie, jakie o badanych przez nas wydarzeniach formułowali ich bohaterowie.